

A photograph of a winter scene. In the foreground, a river flows over a rocky, snow-covered bank. The water is dark and turbulent. In the background, a waterfall cascades over a snow-covered cliff. The sky is a mix of purple and pink, suggesting a sunset or sunrise. A bare tree is visible on the right side of the image.

Józef Weyssenhoff

Za błękitami

Józef Weyssenhoff

Za błękitami

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez dreamstudio.stability.ai

Tekst wg edycji z roku
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-506-6

I.

Ogród spacerowy w Bernatowicach słynie z piękności drzew i z estetycznego ich układu. Założony został w początku stulecia, wówczas, kiedy księżna Izabella Czartoryska pisała swe »Myśli różne o sposobie zakładania ogrodów«, rozpoczynając od cytaty z Pope'a. Wielkie samotne dęby, niespodziewany rozkład klombów, umiejętne połączenie odcieni zieloności, ruina »upoważniona dębem starym«, grupy drzew »przywzwoite na osłonięcie monumentu lub pamiątki« — przypominają dzisiaj, po dziewięćdziesięciu latach, powabne myśli księżnej. I, choć kilka zaledwie olbrzymów pamięta może rozumny uśmiech tej pani, choć może niejeden »Sadzący« skrzywił lub przerobił plan pierwotny, w postarzałych koronach wieje dotąd imię kobiety, której impuls cywilizacyjny czujemy jeszcze dzisiaj przy schyłku wieku. »Księżna kuma« niechętnie doradzała sadzenie drzew zagranicznych, chwalać stylem swym wdzięcznym i tkliwym piękności drzew polskich. Dodawała jednak, że gdyby kto chciał, »wolno mu będzie« sprowadzać gatunki z zagranicy. Z tego pozwolenia skorzystał widocznie pan podkomorzy Okszyć, pradziad obecnego właściciela Bernatowic. W założonym przez niego parku, obok wielkiego bogactwa drzew krajowych, są i okazy rzadkie zamorskie. Każdy, kto tu przyjeżdża musi obowiązkowo obejrzeć tulipanowiec, salisburyę i mimozy. W pobliżu dużego, półpiętrowego dworu z frontonem greckim, noszącym datę 1808 i dewizę łacińską, wznosi się też ładna oranżerya.

Jest lipiec. Kończy się upalny dzień.

Pan Stanisław Okszyć siedzi sam na tarasie od strony ogrodu i trzyma w ręku książkę. Na ławce obok niego rozrzucony stos fotografii ze starożytnych rzeźb i budowli. Okszyć nie czyta, utkwilił oczy w jedną grupę drzew, gdzie brzoza świeżą zielenią odcina się od ciemniejszych dębów i świerków. Słońce leży już tylko na wierzchnich gałęziach, pozostawiając niższe w błękitnawym cieniu, a podszycie klombów prawie w mroku. Na niebie bardzo dalekiem wierzchołki wzorują się nadzwyczaj czysto: można-by policzyć szpilki na wyniosłych czubach modrzewi. Ponad rzeczką i bliżej, nad murawą, komary tańczą szalenie, plamiąc powietrze siateczką szarą — i nie większe od komarów jaskółki szybują pod niebem. To na pogodę.

Płyną zapachy kwitnących akacyi i woń ziemi spoconej, już trochę sennej. Monotonny przyśpiewek komarów przerwie czasem ostre bzyknięcie, jak dźwięk zerwanej struny: to jeden z tancerzy odłączył się od kolumny i zapragnął

krwi pana Stanisława. Okszyć wtedy macha niecierpliwie ręką, albo puszcza kłęb dymu z papierosa. Nie można czytać na tym tarasie, a jednak szkoda wracać do domu.

Zahuczy czasem spóźniony trzmiel, powracając z łupem do gniazda; woda szumi w zastawie; z pól dolatują pomieszane głosy ludzi i bydła — pogodne.

Okszyć odłożył okulary i przetarł zmęczone oczy. Jego twarz, młoda jeszcze, nie ma rumieńców; długi, cienki nos o nadmiernie wykrojonych nozdrzach porusza się nerwowem skrzywieniem. Ubranie wisi jakoś na panu Stanisławie. Nie dobrze wygląda w tym roku, chociaż powraca z podróży na Wschód, która miała mu posłużyć.

Jest to oryginał i marzyciel. Zamożny, bardzo wykształcony, poważany ogólnie, nie żeni się jednak do 35 roku życia i nie bierze się do żadnej produkcyjnej pracy. Rządzi trochę majątkiem, bardzo mało, czyta za dużo i to o rzeczach najniepotrzebniejszych: o sztuce i archeologii. Brak mu, widać, ambicyi.

Taką ma powszechnie opinię Stanisław Okszyć. Opinia ta jest oczywiście na-pół powierzchowna i na-pół fałszywa. Zadziwiono-by się, gdyby wiedziano, o czym teraz myśli ten uczony bez ambicyi.

Myśli, czy usłyszysz wilgę. Lubi ten okrzyk rytmiczny ptaka, który wabi swą ukrytą między liśćmi towarzyszkę klasyczną inwokacją złożoną z trochejów.

A samiczka odpowiada zalotnie w tonie przedłużonego spondeju.

Pan Stanisław myśli prawie poważnie: — Jeżeli dzisiaj jeszcze usłyszę wilgę, to spotkam Ją nareszcie.

Ale już późno. Wilgi zwykle gwizdzą około południa.

* * *

Rozległ się tentent konia z drugiej strony domu, od podjazdu. — Okszyć skrzywił się, bo nie lubił depesz i nieproszonych gości. Posłyszał zbliżający się przez pokoje chód mężczyzny w grubych butach, przez chwilę zgadywał, ale ujrzawszy we drzwiach tęgą postać Frania Wareckiego, ucieszył się, bo mogło być gorzej.

Był to sąsiad i krewny Okszyca, rosły dwudziestoośmioletni chłopiec, ładnie ogorzały na twarzy, z której tembardziej świeciły wesołe oczy i zdrowe zęby. Skończył podobno gimnazjum, służył w ułanach, obecnie zaś był już obywatelem, bo chociaż się jeszcze nie ożenił, dostał od rodziców folwark w sąsiedztwie Bernatowic, przedstawiający mniej więcej jego schedę. Miał więc podstawę bytu i stanowiska.

Przytem, kobiety przepadały za nim, jak sam mówił.

Okszyć lubił Wareckiego za jego powierzchowność, tak dobrze zastosowaną do zajęć i pragnień, że stawała się estetyczną. Lubiał też jego rozmowę płaską, ale dorzeczną i szczerą; widział w nim dobry typ młodego szlachcica, który w salonie był trochę parobkiem, ale zato w polu i na koniu — trochę panem. Traktował go przyjaźnie.

— Mój Stachu — rzekł Warecki zaraz po przywitaniu — przyjeżdżam do ciebie z wielką prośbą: pożycz mi ze dwieście rubli, które ci oddam po zbiorach, bom tak się wypłukał...

Okszyć dobył odrazu dwieście rubli z pugilaesu, dał je i dopiero potem zapytał:

— A na cóż ci to potrzeba?

— O! zaraz na co? — zaśmiał się Franio, pokazując szeroki rząd zębów pod wyszczotkowanym w górę ciemnym wąsem — są chwile w życiu człowieka. — Zresztą entre nous powiem ci, że spotkałem w Warszawie Fiutkę — wiesz? Fiutka, ta co była ze Zbarazkim? Ona odemnie nic nie bierze, ale czasem muszę wystąpić z jaką owacyą, niby zamiast kwiatów.

Okszyć słuchał, mrużąc oczy i puszczając dym papierosa cienkiem pasmem przez małe usta, które składał dziwacznie w ciup, marszcząc skórę naokoło. Przerwał Wareckiemu:

— Oj ty! wiecznie włączysz się za spódnicami.

— Cóż robić? Kiedy, mówię ci, jak zobaczę ładną kobietkę, zaraz mam do niej taką... jak by to? — sympatyjkę. Zaraz muszę dowiedzieć się, czy się uda? I zwykle uda się, tylko trzeba umieć. Zresztą, znają się one, bestye, na mężczyznach. Jak który zacznie traktować od filozofii, od kurtuazyi, od wielkich tam sentymentów, to każda myśli: nudziarz, albo co gorszego. Ale jak się zabrać po przyjacielsku, a pomówić trochę ciepło, a poprosić, — to, słowo daję, prawie każda uzna za stosowne nie być zbyt srogą.

Okszyć słuchał bez najmniejszego zapału, jednak z uwagą.

— Mówisz naturalnie o kokotkach? — zapytał Frania.

— Ee! — i mężatki są bardzo podobne. Nawet powiem ci, entre nous, ta mała Wahrfeld, albo pani Doryna... ja ich tam nie kurmacheruję, bo to wiele zachodu i mało pożytku; ale gdybym tylko chciał — fiu, fiu.

— Wiesz, Franiu, że się tak o kobietach nie mówi.

Spojrzał młodemu urwisowi głęboko w oczy, aż tamten zarumienił się i począł się wykręcać:

— Przecież ich nie obmawiam; tylko tak mi się zdaje, sądząc po ich obejściu, a może się mylę...

— Ja tych pań prawie nie znam — rzekł Okszyca — nie obchodzą mnie wcale; ale obchodzi mnie kobieta moja w każdej kobiecie.

Warecki spojrział na Okszyca trochę jak na waryata, a pan Stanisław mówił, patrząc w dal ogrodu, jakby się zwracał do drzew, zwykłych jego rojeń powierników:

— Tak. Ja cenię w każdej kobiecie jej godność człowieczą. Nie ten pospolity »honor«, ale godność kobietą. Mogę szanować i taką kobietę, która oddała się mężczyźnie z prawdziwej miłości, chociażby naprzykład uciekła od męża. Oczywiście — trzeba znać każdą taką historię, zanim się ją oceni. Ale to mnie poprostu boli, jeżeli kobieta, mająca w sobie pierwiastki piękna moralnego, kobieta zdolna miłości, upada przez próżniactwo lub rozpustę. Ja wierzę w anioły niewieście, mieszkające nawet w pospolitych na pozór kobietach. Te anioły śpią w nich — i mężczyzna może je obudzić, albo zbezcześcić i zabić. I to mi jest wstrętne. Dlatego odłączam te brudne lub biedne wyrobnice miłości od kobiet, stojących wyżej w społecznej i moralnej hierarchii. I kiedy o tych ostatnich słyszę coś uwłaczającego, boli mnie to — powtarzam — bo i ja kocham kobietę, tylko inaczej, dla niej bardziej, niż dla siebie, a kocham ją może lepiej, niż wy.

Powstał i chudą swą, długą postać wyprostował. Oczy świeciły mu blaskiem trochę błędnym. Chociaż wypiękniał i coś duchowo rycerskiego było w jego postawie, Warecki zauważył po cichu, że »temu tak łatwo nie uda się z każdą«, nawet gdyby jej »wygarnął tę przedmowę«.

Zapytał o co innego:

— Może jesteś zaręczony?

— Tak — rzekł Okszyca, patrząc gdzieś w górę i w dal na ostatnie blaski słońca — jestem zaręczony oddawna, ale nie wiem, czy Ją kiedy spotkam...

Franio coraz podejrzliwiej spoglądał na Okszyca i poszukiwał innego przedmiotu rozmowy.

— Co to czytasz? — zapytał.

Okszyca, jak pierwemu zdawał się mówić nie do Wareckiego, tak i teraz nie śpieszył się z odpowiedzią. Zaczął ciągnąć nerwowo raz po raz dym z papierosa i zakaszlał ciężko.

— Poco ty palisz tyle, mój Stachu? — rzekł Warecki, który, mimo różności usposobień, lubił i szanował Okszyca.

— Ha, przyzwyczailem się. Chodźmy do pokoju, bo trochę już chłodno.

Rzucili jeszcze okiem na dogasający dzień. Na niebie zachodnie łuny przejrzyste walczyły z gęstszym fioletem, który powoli wchłaniał je w siebie i nieznacznie stawał się nocnym błękitem. Nad domem, w zenicie, zaczęły drzeć białe gwiazdy.

— Czy słyszałeś dzisiaj wilgi? — zapytał nagle Okszyca, bez związku z rozmową.

— Oj jej! ile ich tam jest u mnie! A tobie na co ta zwierzyna?

— Na nic — lubię ich głos...

* * *

Zebrali fotografie z ławki i weszli do domu. Przy lampach powtórzył Warecki pytanie, wskazując na książkę:

— Co to czytasz?

— To jest coś nowego o muzeach ateńskich. Bardzo ciekawe są wykopane na Akropolis posągi kobiece. Jak ci się ta podoba? Patrz — rzekł, podając Wareckiemu dużą fotografię.

Franio popatrzył, pokręcił głową i odpowiedział:

— Cóż mi się ma podobać? ten długi nos nawet nie grecki, te ukośne oczy, ten głupi uśmiech? Albo ta koszula ułożona w fałdy, jak kolumna.

— To jest archaiczny typ attycki; a co do koszuli, dobrześ to powiedział; ten chiton wygląda, jak kolumna jońska. Ale ta nie dla ciebie — znajdę ci inną.

Przerzucił stos kartonów i wynalazł Wenerę Melijską, w doskonałej, nie retuszowanej fotografii Brauna.

— Cóż o tej powiesz?

— Jakże znowu sądzić o kobiecie, która nie ma rąk? Ale jest piękna — rzekł, wpatrując się pilniej. — Trochę w stanie za gruba... a może i nie?... Kobiety bez ubrania rzadko bywają piękne, a tę by znowu ubrać po naszemu, wyglądałaby dziwnie.

Jednak widać, że to nie byle kto... Niema co mówić — tęga baba!

Uśmiechnął się do niej inaczej, niż wtedy, gdy mówił o Fiutce; wpatrywał się dość długo, z pewnem nawet uszanowaniem.

Może to czynił trochę przez ustępstwo dla Okszyca, a może nawet na tę pierwotną duszę i nierozumiejące oczy podziałała powaga tej boskiej nagości.

Przeszli do sali jadalnej na kolację.

Okszyca był już rad z odwiedzin, bo lubił Wareckiego za jego serdeczną szczerość; Franio zaś dostał pieniędzy, dostał dobrego wina, rozgadał się i zaczął troszczyć się o zdrowie krewnego.

— Za dużo palisz, siedzisz ciągle w domu — to nie dobrze, Stachu.

— Czy nie dobrze? — pytał pan Stanisław z pobłażliwym uśmiechem.

— Oczywiście. Wiesz co? chodźmy jutro na dubelty.

— Idźmy na dubelty.

— A pojutrze pojedźmy razem na imieniny pani Anny do Rzędzina. Będzie tam duży zjazd, mnóstwo panien do wyboru. Tylko jeżeli jesteś zaręczony?...

— E, gdzież tam! Mówiłem sobie tak. Może się z tobą wybiorę. Ja jeszcze lubię poznawać panny.

— Brawo, Stachu! — zawołał Franio. — Będzie tam jedna panna z Podola. Mówię ci rzesy takie — (pokazał długość pół palca) wysmukła, śliczna dziewczyna — a łydki!...

Pocałował palce z rozrzewnieniem.

— Ech, mój Franiu, jak ty znowu gadasz?

— No cóż? widziałem, jak wsiadała na konia. Czegóż nie mam patrzeć? Albo dlaczego ona nie ma mieć pięknych łydek?

— Już dobrze. Jak się nazywa?

— Halka Marliczówna.

— Córką tego bogatego Marlicza?

— Nie — i to jest właśnie jej defekt: nie ma posagu. Dla tego też ja nie mogę o niej myśleć. Ożeń się ty z nią, Stachu.

— Ech, ja... już stary jestem, dla niej w każdym razie.

— Cóż znowu? masz trzydzieści trzy lata.

— Trzydzieści pięć.

— Ja ci ją skaptuję; chcesz?

— Daj pokój, Franiu; to są zbyt poważne sprawy, aby je można tak po prostu załatwiać.

— A jakie się załatwiają zawsze? Przyjeżdżasz; wiedzą, kto jesteś; matce się przedstawiasz (jest tylko matka). Matka ci mówi, że słyszała o tobie, albo o twoim ojcu, kłaniasz się. — Dosyć. — Potem zawracasz pannie kontramarkę: opowiadasz jej o Grecyi, o Atenach, o boginiach. Już ja cię przecie nie będę uczył, co masz jej mówić o Grecyi.

W miarę jak Warecki wpadał w humor, Okszyć pochmurniał. Aż Frania to zniecierpliwiło i skrócił odwiedzin. Jako starszemu, bogatszemu i wogóle wyższemu na drabinie społecznej, Warecki nie śmiał powiedzieć Okszyćowi:

— Jesteś niedołęga.

Ale myślał tak, wracając konno, po księżycu, do domu.

II.

Długi węgierski wózek, zaprzęzony w parę rączych mierzynów, turkotał po szosie. Powoził zgrabny chłopiec w kitlu i czapce liberyjnej, a z tyłu siedzieli Okszyć i Warecki, ubrani w jasne płaszcze od kurzu i w słomiane kapelusze. Franio, zmorzony upałem i jednostajnym ruchem, spał, siedząc, wybornie. Miał on zresztą za zasadę korzystać z każdej chwili zdatnej do snu, bo niewiadomo, co może się zdarzyć w nocy, a tymczasem co odeśpi, to jego. Że był zdrow i zahartowany, umiał spać na bryczce, na koniu, we wszystkich pozach i okolicznościach. Okszyć, który zasypiał trudno, nawet w nocy i w doskonale zasłanem łóżku, patrzył na Frania z podziwem. Nie było jednak w tym podziwie zazdrości, bo pan Stanisław wogóle mało miał w sobie gorzkości; porównywał się tylko z Wareckim i litował się nad samym sobą: czemu nie dała mu natura tego pięknego zdrowia, tej cielesnej maszyny normalnie działającej, tej beztroski i uciechy życia? Obdarzyła go wprawdzie zupełnie innym mózgiem — wiedział o tem — mózg ten wypielegnował, wyrobił przez naukę i spekulację; znał wyższe dziedziny myśli, mógł odkrywać częściowo nowe światy, niedostępne takim Wareckim; rozumiał nawet głębiej to zwykłe, potoczne życie, przez które szedł smutny, podczas gdy tamten szedł wesół i pozornie zwycięsko. Ale te przywileje, które znał, nie wbijały go w dumę; owszem, pytał się często, czy nie miał słuszności Byron, gdy mówił, że za przedłużenie jednej nogi, którą miał krótszą, oddał-by cały poetycki talent.

Czuł się jednak dzisiaj nieźle i jechał na imieniny do państwa Lisów z zaciekawieniem. Był przed paru laty w Rzędzinie, ale dojeżdżał tam koleją z Warszawy, teraz zaś wybrał się końmi z Bernatowic. Jechał już parę godzin i wkraczał w okolice, których nie znał, albo tylko je sobie przypominał z dziecinnych lat, kiedy z rodzicami jeździł do Bernatowic końmi z Warszawy, jeszcze przed budową kolei.

Pan Stanisław lubił bardzo podróże i, dostawszy duży majątek po śmierci ojca, jeździł często po Europie, zajrzał nawet ostatnimi czasy do Azji i Afryki. Po skończonym trzydziestym roku życia przesiadywał częściej i dłużej w Bernatowicach i stąd robił długie wycieczki końmi. W podróżach po własnym kraju miał Okszyć inny cel i inny rodzaj wrażeń. Celem jego, bardzo ukrytym, było — wyszukać sobie żonę. Nie przyznawał się do tego, szukał według zasad i prawideł niepochwytnych dla ogółu i dlatego miano go powszechnie za oryginała i kandydata do starokawalerstwa. Wrażenia zaś podróży tem głównie różniły się od wrażeń zagranicznych, że we Francji, lub w Grecji Okszyć

stwierdzał rezultaty dawnej i nowej cywilizacji mniej więcej obojętnie, dla nauki, dla przyjemności zmysłowej. Jeżdżąc zaś po wsiach i miastach polskich, zajmował się nie tylko stylem okazałych budowli, nie tylko rysunkiem krajobrazu, ale i użytecznością, znaczeniem, przyszłością wszystkich pomników i objawów życia.

Dzisiejsza więc podróż szosą dostarczała mu ciągłych przedmiotów do spostrzeżeń.

Zauważył, że około szosy stały domy zajezdne duże, murowane z pewną pretensją do architektury, często nawet ze smakiem: wejście główne ozdabiała wklęsłe otwarte przedsionki, o dwóch lub czterech kolumnach. Wszystkie te domy były w stylu pierwszej ćwierci 19-go stulecia, pseudoklasycznym, doprowadzonym ad minimum, ale nie zupełnie zatartym. Ogromne, również murowane, stajnie, dotykały do austeryi zwykle pod kątem prostym — i całość tych zakładów świadczyła o dawnych większych wymaganiach podróżników, o czasach, kiedy krążyły po kraju karety poszóstne, kiedy popasano i nocowano w zajazdach. Dzisiaj złe utrzymanie tych domów, przedziurawionych zwykle gdzieś na rogu przez szynk żydowski, okazuje widocznie małą ich użyteczność. Pan Stanisław myślał dość długo, na co-by je użyć można, zwłaszcza po wprowadzeniu monopolu wódczanego.

Migały około drogi dwory, ogrody, budynki gospodarcze. Okszyć cieszył się, gdy je znajdował w porządku. — Szumiały drobno wielkie łany owsa, gęste kopy lub sterty oziminy świadczyły o bogactwie roli, pachniała gryka miodem i koniczyzna swą wonią osobną, z której-by można wyrobić najwytworniejsze perfumy, — myślał pan Stanisław.

Tutaj znów dobrze założono sad. O! bardzo dobrze. Zielone kule drzew owocowych siedzą rzędami zwartymi w jednym kierunku dwa razy gęściej, niż w prostopadłym (ze względu na późniejszy rozrost i usunięcie co drugiego pnia), a pomiędzy niemi rozłożysta kapusta, gęsty las fasoli, i, między delikatnym, wycinanym liściem marchwi, czerwone i różowe maki, lub wybujały słonecznik. Pachnie tu dobrobytem i obfitością — ucieszył się znowu pan Stanisław.

Ale gdy przejeżdżał przez żydowskie miasteczko drewniane, cuchnące i zabłocone, nawet w tej porze zapachów i słońca; kiedy znów zobaczył wałącą się chatę we wsi, z oknem nie większym od zwyczajnego lufcika; kiedy droga dojazdowa do szosy zarysowała się szeroką ławą piasku, wijącą się przez pole, jak wyschłe łóżysko rzeki, — pan Stanisław zapadał w smutek.

Jechał po swoim kraju i odczuwał wszystkie jego piękności, bogactwa i niedostatki.

Szosa ciągnęła się znów polem, daleko rozłożonem w prostokątne figury zbóż,

traw i ugorów. Senny powiew błakał się po tej równinie, rozpędzał trochę upał i od dalekich łąk przynosił ledwie dostrzegalne tchnienie wilgotne, bo już miało się ku wieczorowi.

Okszyć myślał o pannie Halce Marliczówniej, której nie znał. Przypominał tylko pochwały Wareckiego.

Gdyby to Ona była? Jest podobno wychowana na wsi; może dusza kobieca pozostała w niej świeża, zdolna do wielkiego kochania? Może długie jej rzęsy kryją oczy zaufane, pełne oczekiwania miłości?

Okszyć miał o miłości teorie swoje własne, a przynajmniej samoistnie wyrobione. Mniemał, że jak z fizycznego stosunku między mężczyzną a kobietą rodzi się istota trzecia, tak z doskonałego uścisku dusz powstaje siła nowa — i tę nazywał wielką miłością. Ta siła jest najwyższym wyskokiem życia, spotęgowaniem wszystkich władz, zwanych sercem, a przez to samo wzniesieniem człowieka do jego najszczytniejszych przeznaczeń. Wartość bowiem człowieka oznaczał tylko stopniem rozgrzania jego serca. Do objawów serca zaliczał Okszyć religię, patriotyzm, miłość piękna i popędy do poświęcenia własnych korzyści dla cudzych. Wszystko to znajdował, czy umieszczał, w tej idealnej miłości, której nie doświadczył, a pragnął nieskończenie. Szukał jej przez całe życie, to jest szukał duszy kobiecej, z którąby mógł wejść w to tajemnicze, pełne nadziemskich dreszczów, porozumienie, z którąby mógł stworzyć ową siłę i ową piękność.

Kochając piękno plastyczne w sztuce, nie mógł być na nie obojętny w naturze: to też wymarzona jego kobieta była piękna. Ale nie była to piękność zmysłowo drażniąca, jeden z tych »wabików« kobiecych, które ciągną za sobą czerebę mężczyzn, znajdujących się w promieniu pewnego oddalenia. Piękność jej była poważna, zawarta głównie w oczach, w dobrym wyrazie ust, w harmonijnym ruchu postaci. Jej pozory zewnętrzne odpowiadały wielkiej wewnętrznej słodyczy, szlachetności i poczuciom estetycznym. W tej kochance było nieco siostry i nieco muzy.

Jednak, chociaż Okszyć był przekonany idealistą, miał dosyć praktycznego rozsądku, aby uczynić pewne ustępstwa ze swych marzeń na rzecz prawdopodobieństwa i mierności ludzkiej. To też szukał kobiety, zbliżonej tylko do tego ideału, zostawiając nawet dość szerokie pole jej indywidualności, nieobjęte tymże ideałem.

Inna strona tego rojenia była smutniejsza: on może jeszcze znajdzie tę kobietę i pokocha bez granic, ale Ona czy go pokocha?

Chociaż wzniesiony ponad poziom ludzi go otaczających, pan Stanisław nie miał w sobie zaufania, gdy chodziło o podbój kobiecego serca. Mówił dobrze, zdolny był do zapału, — jednak w obejściu się z kobietami zachowywał pewną

sztywność moralną, niezdatną do niczego, chyba do wzbudzenia szacunku. Szanowały go aż nadto.

Prostu Okszyć nie czuł się dostatecznie pięknym. Czuł bezzasadność obiegających po świecie teorii, jakoby piękność męska była zaletą zbyteczną, jakoby nie ważyła nic na szali wewnętrznego szczęścia i powodzenia w życiu; a nie mógł znowu pocieszać się myślą, że każdy kulawy znajdzie swoją kulawą i z nią się ożeni, bo ta kombinacja obrażała nie tylko jego dumę, ale i kult dla estetyki. — Nie był znowu brzydki: trochę za chudy i trochę za blady; nos miał za długi, usta za małe, ale był wysoki, wcale nie pospolity, — owszem, kto go raz ujrzał, pamiętał jego typ szlachetny i ujmujący. Wprawdzie pamiętali go przeważnie mężczyźni.

Liczył on nie wiele kobiet w swych wspomnieniach kawalerskich. Bardzo późno, w dwudziestym roku życia, poznał po raz pierwszy zmysłowy uścisk kobiety. Córka gospodyni domu, w którym mieszkał jako student w Berlinie, fertyczna mieszcanka lekkich obyczajów, postanowiła uwieść tego panicza, może tylko dla przyjemności inicjatorstwa. — Zrozumiała, że tego poważnego i wytwornego młodzieńca trzeba »wziąć na miłość«; — jęła się więc sposobów zwykłych, na które łapią się codziennie dużo wytrawniejsi od pana Stanisława: szukała jego spojrzeń, płakała, pisała listy. A młody Okszyć już wtedy marzył mniej filozoficznie, mniej zasadniczo, ale może goręcej, o budzeniu aniołów, drzemających w kobietach. Dlaczego-by w Klärchen nie miał drzemać jaki niemiecki anioł ze szkoły kolońskiej? Po miesiącu tych z jednej strony niskich, z drugiej naiwnych zabiegów, doszło do pierwszej schadzki, pełnej uniesień, choć bardzo pospolitej, w mieszkaniu studenta. Po drugiej i trzeciej pan Stanisław myślał, że odkrył jednak coś pięknego, jakiś kwiat, — może nie różę mistyczną ale ładny polny dzwonek. Klärchen zaś ze swej strony zauważyła, że Okszyć jest »ein feiner Mann«, a także »ein guter Kerl«. Ta ostatnia uwaga skłoniła ją do przesłania mu po tygodniu sporego rachunku szwaczki. Pan Stanisław wzdrygnął się i zapłacił. Gdy jednak przyszedł znów rachunek jubilera, kochanek zapłacił go znowu, potem oddał Klärchen ile tylko miał w kieszeni pieniędzy i przeniósł się do innej dzielnicy miasta.

Pierwsze rozczarowanie wstrzymało go na długo od poszukiwania wielkiej miłości. Ale raz rozbudzone zmysły brały czasem górę nad zasadami i Okszyć czasem, po winie, zabłądził w towarzystwie kolegów do jakichś nocnych kawiarni. Budził się nazajutrz zawsze ze strasznym niesmakiem moralnym.

Nie chciał szukać miłości kobiet zamężnych, — a to przez poszanowanie gniazda rodzinnego, przez wstręt do kłamstwa i przez wątplenie o doskonałości takiego stosunku. Gdyby pokochał mężatkę, rozwiódłby ją, albo z nią uciekł. Inna forma romansu nie mieściła się w jego teorii.

Rozmawiał dużo z kobietami, dając wogóle prym pannom; jednak, ponieważ kobietę kochał i starał się poznać moralnie we wszystkich gatunkach i wiekach, — rozmawiał i z mężatkami i ze starszemi paniami. Przedewszystkiem zaś rozglądał się po świecie i po gwiazdach, pragnąc zgadnąć, gdzie mieszka owa przeznaczona, której szukał.

A może to panna Halka Marliczówna?

Kiedy tak rozmyślał, bryczka, nie opuszczając szosy, wjechała w piękną, poczwórną aleję lipową, widocznie sadzoną jeszcze przed założeniem szosy, bo w oddaleniu dostrzegł Okszyca, że aleja zawraca do zwartej zieloności jakiegoś ogrodu.

— Już dojeżdżamy, proszę jaśnie pana — odezwał się woźnica, sądząc po ciszy za sobą, że obaj panowie zasnęli.

— Franiu! obudź się! dojeżdżamy do Rzędzina.

— Co? — aha — dobrze — co? A tom sobie chrapnął!... Śniło mi się, że jadę z panną Halką na podjazd — i pokazuję jej kozła, a ona rym do niego. I właśnie jak ona rym, toś ty mi krzyknął nad uchem. To ciekawe.

— Zauważyłem już dawno — rzekł Okszyca — że sen jest prawie błyskawiczny. W jedną tercję sekundy można prześnić całą historię, którą-by trzeba opowiadać przez kwadrans. Ale to także zabawne, że obaj śniliśmy o tej samej kobiecie, bo i ja myślałem o pannie Marliczównie.

— Tak? — to szkoda że nie mamy trąbki — pan Stanisław Okszyca jedzie w konkury.

— Cicho, daj pokój. A pamiętaj, żebyś mnie wziął na swoją odpowiedzialność wobec państwa Lisów, bo mnie wcale nie proszono.

— Cóż znowu! przecie zaręczyć można z góry, że będą uradowani, że pochlebisz im swoją wizytą. Zboczyli z szosy w aleję lipową włączoną do młodszeo ogrodu, i wkrótce podcinane batem konie, spienione, zajechały tęgim kłusem przed dom biały, parterowy, piętrowy, rozłożysty, niewiadomo gdzie kończący się z powodu ilości przybudówek i połączeń z oficynami. Widać tu było, jak na rzymskim Palatynie, kilka warstw budowlanych jedną na drugiej, od domu Romulusa aż do pałacu Liwii.

We drzwiach, szeroko otwartych na duży ciemny przedpokój, ukazał się wspaniały szlachcic z siwym wąsem i czubem, z trzema podbródkami. Surdut leżał na nim, jak żupan, a laskę trzymał przy sobie, niby karabelę. Wolną rękę wzniosł z ozdobną fantazyą do góry.

— Pana Stanisława dobrodzieja! Cóż za przyjazne bogi prowadzą cię w nasze progi? A witaj-że sąsiedzie miły! Mam nadzieję, że wiesz z sobą kufry, bo przed tygodniem stąd nie puścimy. Serdecznie ci rad, panie Stanisławie!

Przycisnął go do brzucha i pocałował.

Tymczasem Franio Warecki, o którym pan Lis chwilowo zapomniał, wszedł do przedpokoju i, kto się tylko zdarzył z kobiet: panie i panny, od najstarszych do najmłodszych, całował po rękach.